NUMER 5. DNIA 29. STYCZNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Langiewicz o swej kampanji powstańczej.

(LIST DO LUDWIKA BULEWSKIEGO).

Tyszniowce, 21. kwietnia 1863.

Kochany Ludwiku!

Wczorajszym listem zapowiedziałem Ci krótki rys mojej kampanji powstańczej. Naturalnie, że Ci nie dam wykazu odbytych marszów ani opisu naszych potyczek. Nie mam po temu czasu, bo im prawdopodobniejszem jest moje bliskie uwolnienie się z niewoli austrjackiej, tem więcej mam pracy około przygotowania nowej kampanji, która, mam nadzieję, rozpocznie się za kilka dni. Ty sam, nie będąc wojskowym, teraz pewnie nie masz ani ochoty do czytania szczegółowej historji, ani też spokojnego czasu wśród zamętu i walk stronniczych, których nieszczęsną stolicą stał się Kraków. Celem moich listów jest wykazać Ci, jakim sposobem mimo dziwnej dysproporcji sił wojujących, nie tylko egzystowaliśmy, ale nawet ciągle wzrastali w siły materjalne i moralne. Ty więc, w Wiedniu, w Krakowie i w Galicji naocznie się przekonawszy, że stosunkowo już nam znacznie przybyło i ciągle przybywa zasobów w ludziach i w materjale, nabędziesz przeświadczenia, że najtrudniejsza faza naszego powstania już minęła i że dobry kierunek polityczny i militarny obiecuje nam prawie pewność zwycięstwa.

Z poprzednich listów widziałeś, żeśmy tylko przebiegami i zuchwałymi manewrami zyskali możność organizowania się w Wąchocku. Ale pewną było rzeczą, że nieprzyjaciel wkrótce się dopatrzy naszych sił rzeczywistych i ośmieli się atakować nasz obóz. (Tak Moskale dowiedzieli się, ile wołów pewnego dnia zabito w moim obozie i stąd wywnioskowali, że mam 3.500 ludzi, podczas gdy poprzednio taksowali nas na 7.000. Owego dnia miałem wprawdzie tylko 800 ludzi, ale zmniejszenie się fikcji o połowę było dla naszego obozu bardzo już niebezpiecznem). Nie miałem sposobu do żwawszego mnożenia i zbrojenia naszych szeregów, ani też żadnego miejsca, któreby dawało więcej bezpieczeństwa wojskowego i zarazem więcej łatwości do wzrostu powstania. Nie było środków do ufortyfikowania Wąchocka, ani też do bronienia go przez 24 godzin, choćby był ufortyfikowany. Ale Wąchock już sobie pozyskał był dobrą reputację i cała Polska patrjotyczna patrzała na powodzenie tego obozu, a Rząd Narodowy wysłał był trzech swoich członków, ażeby tutaj osadzić się jako Rząd jawny; nadto, tu już były warsztaty i magazyny wojenne, których przeniesienie, żadnych nie przynosząc korzyści, pociągało za sobą stratę najważniejszej w powstaniu rzeczy t. j. czasu. Musząc zatem jeszcze na jakiś czas pozostać w Wąchocku, chciałem go jako tako zabezpieczyć. W tym celu rozłożyłem 1.000 ludzi, już uzbrojonych i zorganizowanych, w trzech oddziałach w okolicy Wąchocka, oddalonych od siebie i od Wąchocka 7 do 12 kilometrów, tak że w ciągu 4 godzin mogłem wszystkie nasze siły skoncentrować na każdym z czterech punktów przez nas zajętych. Resztę moich sił, około 400 jeszcze nie zupełnie zorganizowanych i po większej części nie uzbrojonych zostawiłem w Wąchocku. Oddziały detaszowane, oprócz swej misji czysto wojennej t. j. wytrzymania pierwszego ataku na naszą pozycję i wspierania małych oddziałów powstańczych, które się w województwie zaczęły formować, miały pod względem propagandy i organizacji militarno-powstańczej pełnić te same obowiązki, jakie dotychczas pełnił był sam Wąchock. Prócz tego miały być świadectwem, że nasze siły się rozrastają. Ale moja rachuba była mylną. Oddziały te nietylko nie miały wywierać żadnego wpływu na ludność, ani się powiększać, ani przygotowywać, ani gromadzić materjały wojenne, ale nawet za pierwszym atakiem nieprzyjacielskim,

dowódcy kazali swoim ludziom rozejść się do domów. Był to dzień podobny do owej nocy pierwszego naszego wybuchu, która wszystkie prawie rachuby omyliła i prawie wszystkie przygotowania zniweczyła, i gdzie trzeba było jakiegoś fanatycznego uporu, ażeby nie zaniechać dalszej wojny. Rano o godzinie 9-tej, 3-go lutego schroniłem się do jednego domu, ażeby kilka godzin wypocząć, po dwóch nocach bezsennie przepędzonych. Zaledwo rzuciłem się był na łóżko, wpada mój adjutant z raportem, że na naszych forpocztach żwawy jest ogień i to od strony Parszowa, gdzie stał jeden mój oddział złożony z 300 ludzi, mający w pobliżu drugi oddział, liczący 400 ludzi. W Wąchocku mieliśmy około 50 sztuk broni palnej, 500 ładunków, około 100 kos i do 60 lanc; oczywiście, że tem nie można było bronić drewnianej mieściny przeciw artylerji, piechocie i jeździe. Pomocy z zewnątrz nie mogłem się spodziewać, bo skoro Moskale przyszli traktem, na którym jeden mój oddział był rozłożonym i którego drugi z bliska pilnował, musiałem wnioskować, że oba oddziały tak nagle zostały napadniętymi i rozbitymi, że im nie starczyło czasu nawet na zawiadomienie mię o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Trzeci mój oddział nadejść mógł z Bodzentyna dopiero w czterech godzinach, lecz tak długo nie byliśmy w stanie boju utrzymać, nie chcąc być otoczonym i spalonym, jeśliby skuteczna pomoc wcześnie nie nadeszła. Świeże doświadczenia nakazywały mi nieufność. Biliśmy się więc tylko, ażeby zyskać czas do wywiezienia najpotrzebniejszych przedmiotów i opuściliśmy miasto spokojnie i w porządku. Moskale nie śmieli nas ścigać i dopiero od mieszkańców dowiedziawszy się, że wszyscy powstańcy wyszli, zajęli, zrabowali i spalili miasteczko, wedle swego zwyczaju. Szczególniej na mojej kwaterze, tak w Wąchocku jak i gdzieindziej, wywierali zemstę równie śmieszną, jak wandalską.

Otóż rezultat dotychczasowych wysileń: warsztaty i magazyny zniszczone, $^3/_4$ broni stracone, dwa najlepsze oddziały przez samych dowódców rozproszone, nieprzyjaciel ośmielony, nasz żołnierz zdemoralizowany, popłoch rzucony na ludność sprzyjającą powstaniu, niemożność zyskania podstawy operacyjnej i gorzkie przekonanie, że wcale nie mogę liczyć na oddziały, których nie mam pod ręką. Prócz tego na wiadomość o rozbiciu obozu wąchockiego, rozszerzaną i przesadzaną przez Moskali i szlachtę nam nieprzychylną, nowe oddziały, które się w województwie tworzyły, rozeszły się do domów , a szlachta składająca wielkie stowarzyszenie nazwane „Białymi“ śmiało podniosła czoło i wysłała do mnie deputację celem nakłonienia mię do rozpuszczenia oddziałów i zaniechania wojny w mojem województwie, zaręczając, że po innych województwach powstanie albo wcale nie istnieje, albo nie ma prawie żadnych sił. Odpowiedziałem deputacji, że Rząd Narodowy dał mi komendę, ażeby wojnę prowadzić, nie zaś ażeby dysputować nad zaniechaniem wojny; do szlachty zaś całej wystosowałem odezwę, o której na innem miejscu obszerniej pomówię.

Opuściwszy Wąchock, zająłem pozycję w lasach S-to Krzyskich, dość obronną, ale niestosowną do prędkiego rozszerzania powstania. Przedewszystkiem bowiem trzeba było ściągać rozproszonych ludzi i zaopatrywać się w broń i amunicję, zresztą powinienem był przypuszczać, że Moskale, korzystając z pierwszego powodzenia, będą naszą garstkę ścigać aż do rozbicia. Tymczasem nie umieli się zorjentować i pozwolili mi zebrać w kilku dniach większą część rozbitków i zrestaurować stan moralny naszego obozu. (C. d. n.)

Śladami piękna.

(O dra Jana S. Zubrzyckiego „Zwięzłej historji sztuki“.)

„Zwięzła historja sztuki*) mająca na okładce jako firmę, czy godło... basztę w Żółkwi, a więc biorąca z tła światowego ledwie dostrzegalny punkcik — poczyna być z góry interesującą i tłumaczy się wpierw, zanim czytelnik zajrzał do środka. Jest to bowiem obrazowe uzupełnienie napisu tytułowego i świadectwo, że autorowi chodziło głównie o „zwięzłą“ historję sztuki p o l s k i e j, którą pojął i roztoczył na tle ogólno światowem, związał z powszechnemi pojęciami piękna i jego objawami w ciągu wieków i pośrodku narodów.

Wdzięczni jesteśmy drowi Zubrzyckiemu za taką właśnie historję sztuki. Bo ona z szerokich horyzontów prowadzi do gniazda rodzinnego, a równocześnie ojczystych wierzei nie zamyka przed szerokim powiewem odległych czasów i dalekich ludów.

*) Dr. J. S. Zubrzycki: Zwięzła historja sztuki, od najpierwszych jej zaczątków po czasy najnowsze. Kraków 1904.

Bo taka historja sztuki światowej, której winietą tytułową jest baszta w Żółkwi, pewnie nie zapomni o Parthenonie ateńskim, o rzymskim Pantheonie, tym, którzy nie wiedzieli, powie coś o Rafaelu, Michale Aniele, ale wszystko to i zawsze w tym celu, aby uwagę czytelnika sprowadzić wreszcie do sztuki swojskiej i w tej dziedzinie już z nim pozostać do końca.

Poprzednie dzieła dra Zubrzyckiego uprawniały go bardziej do napisania tego rodzaju podręcznika, niż kogo innego. Pisał bowiem i o „stylu starochrześcijańskim“ i o „sztuce średniowiecznej“ i o „rozwoju gotycyzmu w Polsce“ i o „filozofji architektury“, a pisał zawsze z wielkim pożytkiem dla nauki, z wielkiem wzbogaceniem skąpej naszej w tym względzie literatury. „Zwięzła historja sztuki“ przynosi całość w formie ujmującej, pięknej. Zwięzłość nie pozwoliła na rozumowania i cytaty, ale otwarła za to szerokie pole odczuciu, błyskawicznym rzutom myśli. Ten wdzięk w prostocie, w zastosowaniu asymetrji, nieregularności rozdziałów, który tak bardzo zachwyca autora w gotyckich zabytkach Krakowa, stanowi też cechę charakterystyczną jego „Zwięzłej historji“. I tu nieliczenie się z proporcją na rzecz ogromnej przewagi materjału swojskiego i tu prostota w przedstawieniu rzeczy taka, że książka iść może i powinna w najszersze masy, dla ich nauki i dla odczucia wreszcie potrzeby szanowania zabytków sztuki polskiej.

Rozdziały o sztuce greckiej, rzymskiej i t. d. stanowią niejako sztafaż dla historji sztuki polskiej, którą autor traktuje z zamiłowaniem, nie pomijając w zwięzłych ramach żadnego ważnego zabytku na całym obszarze ziem polskich, począwszy od czasów przedhistorycznych.



OŁTARZ W KAPLICY BOIMÓW WE LWOWIE.

W opisaniu zabytków stylu romańskiego, które z powodu skąpej ich liczby oparło się w znacznej części na odszukiwaniu ich śladów w rzutach poziomych poprzeistaczanych świątyń, nie pominął autor takich, jak np. kościołek św. Jana we Lwowie, który tylko datą założenia sięga epoki romańskiej, lub kościoł P. Marji Śnieżnej we Lwowie, w pierwiastkowem założeniu, z którego prawdopodobnie niektóre mury dołem i wydłużone charakterystycznie prezbiterjum pozostało, należący do epoki romańskiej.

Rozwój stylu gotyckiego w Polsce i jego swojskich cech, tworzących odmianę ściśle polską t. z. „gotyk nadwiślański“ i odcień krakowski doczekały się w książce dra Zubrzyckiego, nietylko w zakreślonych ramach wyczerpującego, ale i popularnego przedstawienia, wraz z wymienieniem ważniejszych zabytków, wśród których znalazło się miejsce i dla lwowskiej katedry. Osobny rozdział posiada budownictwo drewniane w Polsce, które autor traktuje razem z gotycyzmem, jako zabytek epoki średniowiecznej, kiedy ciesiołka polska najbardziej była rozwinięta. Cechą charakterystyczną drewnianego budownictwa było połączenie budynku z przestrzenią otwartą, która w małym zakresie zwie się gankiem, w większym zaś zakresie podcieniem. Z rycin, zdobiących książkę dra Zubrzyckiego,

podajemy charakterystyczny typ domów podcieniowych, które zachowały się w Ciężkowicach w Grybowskiem. Dawniej wszystkie miasta i miasteczka posiadały takie podcienia dokoła rynków swoich. Służyły one dla celów kupieckich. Do dziś przechowały się one tylko gdzie niegdzie, tam zaś gdzie dawniej spłonęły, zdołano je odbudować w architekturze ceglanej (Krosno, Żmigród, Rymanów, Żółkiew, Tarnów, Jarosław, Dąbrowa). Sławne są podcienia w Piotrkowie Trybunalskim, a do niedawna posiadał je Wiśnicz za Bochnią. Te ostatnie przed pożarem uwiecznił Matejko.

Epoka renesansu, a zarazem złotego wieku i rozkwitu sztuki polskiej, traktowana jest w książce dra Zubrzyckiego mniej wyczerpująco, chociaż rownie ciepło, jak epoki poprzednie. Czuć tu jednak pewne przytłoczenie horyzontu polskiego sprawozdawczym materjałem sztuki obcej, a zwłaszcza włoskiej, owej matki odrodzenia, stanowiącej obok sztuki greckiej najwyższy wykwit genjuszu ludzkości. Ale nawet zestawienie w jednym rozdziale dzieł odrodzenia włoskiego z ich echem w odległej Polsce Zygmuntów nie stanowi zbyt rażącego dysonansu, kiedy się zważy, że Polska była po Włoszech krajem, w którym najwcześniej rozwinęły się sztuki klasyczne, zwłaszcza architektura. Ta ostatnia zapanowała wszechwładnie i wydała owoce, przewyższające nawet niektóre dzieła Francji.

Za pierwsze dzieło odrodzenia na ziemi polskiej uważa autor kaplicę Zygmuntowską na Wawelu, stanowiącą klejnot prawdziwy narodu i króla... „Ten najnowszy wzór ręką mistrza włoskiego zaszczepiony na północy, staje się doskonałym, pięknym i bogatym okazem, — tak doskonałym, że za miarę służył i służy jeszcze, tak pięknym, że porwał i zachwyca jeszcze, wreszcie tak bogatym, że pouczył następców i poucza dziś jeszcze!!...“

Kaplica Zygmuntowska stała się wzorem dla dzieł podobnych, po całej Polsce rozsianych i to w takiej mnogości, że autor pyta, dlaczego tyle tych kaplic u nas, niemal przy każdym kościele? Na pytanie odpowiada autor w sposób następujący: Epoka gotycka pozostawiła tak dużo kościołów średniowiecznych, iż na razie nie zachodziła żadna potrzeba wznoszenia nowych świątyń. Że jednak zapał a gorliwość nie mogły pozostać w bezczynności wobec ruchu świeżo rozbudzonego — chwycono się zatem sposobu przystawiania kaplic, obok murów istniejących.



DOMY PODCIENIOWE W CIĘŻKOWICACH.

W długim szeregu kaplic renesansowych przytacza autor także dwie sławne kaplice lwowskie — jedną Boimów, drugą Kampianów. Pierwsza stojąca na uboczu katedry rzymsko-katolickiej zbudowana jest w stylu późnego odrodzenia z początków XVII wieku i przeładowana nieco rzeźbami, według maniery niemieckiej. Mimo to stanowi ona najpiękniejszy zabytek renesansu lwowskiego, a jej główny ołtarz, którego wizerunek wyżej podajemy, odznacza się pięknością form i bogactwem szczegółów dekoracyjnych. (Dok. nast.)

Fr. Jaw.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Poszedłem też i na miejsce, gdzie stał ongi zamek, a miejsce to doskonale widzieć się daje. Niestety, tylko szczęty fundamentów można zobaczyć, a tu, gdzie był dziedziniec zamkowy, fala wiatru kołysała wąsaty jęczmień, w pośród którego troskliwy rolnik rozwiesił różnorodne strachy na biedne wróble. Czy świadom jest przeszłości tego kawałątka roli, który dziś uprawia, nie wiem.

Wróciwszy z Wiślicy, udałem się na tratwę, która się kołysała przy ujściu Nidy, a obok niej siedm jednakich towarzyszek, z których każda mie-

rzyła 180 łokci długości, a 45 szer. Tratwy te były z progów dębowych pod kolej, a tylko tu i owdzie był belek sosnowy — zwany „podszywką“, a to dlatego tu umieszczony — aby się tratwa dębowa mogła na powierzchni wody utrzymać. Prócz tego na każdej tratwie był ładunek belek do 250 sztuk.

Każda tratwa składała się z czterech pasów zwanych z flisacka: „gleniami“; glenie te były powiązane do siebie wiciami grubemi, z brzozy lub dębu, które tu flis zowie „śrykówką“. Śrykówki zapina się kawałkiem drzewa, w klin zaciosanem, który zowią „źbilem“, a chcąc, aby tratwa, albo jak dawniej mówiono „trafta“, stanęła np. na nocleg itp., używa się do tego grubego i długiego drąga, który czasem ledwo dwóch ludzi udźwignąć zdoła, który to drąg zwie się tutaj „śrykiem“. Śryków takich na każdym pasie jest głównych 4, a mniej głównych znów 4. Dwa główne znajdują się na przodzie tratwy, która się zwie: „głową“, a drugie dwa na tyle tratwy, czyli na „calu“.

Śryki te, umieszczone są w otworze tratwy, w specjalnym przyrządzie, który się zwie „skrzynia“ i na komendę się je topi w głębi, aż dna dostaną, czyli się śrykuje.

Na tratwie jest 4 ludzi na głowie, a 4 na calu. Ten co stoi na przodzie tratwy po lewej stronie nazywa się „przednik“, a ten co po tejże stronie, ale na ogonie tratwy czyli na calu, zwie się: „hartulnik“. Ci, co są po drugim brzegu tratwy tj. z prawej strony zowią się: „jałowi“.

Przednik musi się znać na wodzie i bierze większą pensję, reszta jest równa sobie, a słucha głównie przednika.

Flisacy śpią w prymitywnych budach, cienko słomą krytych, a szyper lub kupiec ma łóżko w dużej budzie z desek zwanej „skarbówką“. Na niej powiewa chorągiewka czerwona.

Nie było tam w tej skarbówce jak ongi grochu, słoniny itp. do żywności artykułów, bo teraz dawano flisom strawne, bardzo skromne, bo coś mało wyżej nad dwa ruble tygodniowo, — płaca bardzo nędzna.

Budy retmana i jego zastępcy zwanego: „podmajstrzym“ były nieco wygodniejsze.

Póty wszystko wiodło mi się dobrze i było mi nawet wesoło. Dziewczęta nowomiejskie, pędząc płowe krówki do wody, na widok tylu flisów śpiewały:

„Płyną flisi płyną, nie mają retmana,
Najświętsza Panienko, prowadźże ich sama“.

(C. d. n.) *Jakób Bojko.*

„Ahasver“

HERMANA HEIJERMANSA.

Wkrótce po wystawieniu „Dory Kremer“ (w r. 1893) pierwszego utworu dramatycznego Heijermansa zapowiedziały afisze teatralne w Amsterdamie jednoaktową sztukę p. t. „Ahasver“. Pod tytułem sztuki czytano: „napisał Iwan Jekałowicz, tłómaczył z rosyjskiego W. v. D.“ — Heijermans użył podstępu. Widząc, że wszystko, co przychodzi z zagranicy ma powodzenie, przedewszystkiem zaś zrażony do publiczności i krytyki niepowodzeniem „Dory Kremer“ — nie podpisał się pod swem dziełem. Teatr był pełny. Jednoaktówka Heijermansa wywarła wielkie wrażenie na publiczności. Co prawda, „Ahasver“ nie jest pozbawiony miejsc, obliczonych na efekt — zasadniczo jednak jest dziełem niepospolitem. Jednoaktowe dzieło.

Temat zaczerpnięty istotnie ze stosunków rosyjskich, właściwie z historji prześladowań żydów w caracie. Rzecz dzieje się w jakiejś wiosczynie koło Niżnego Nowogrodu. W starej, chylącej się ku ziemi chacie z powybijanemi oknami, zrujnowanej do znaku, dumają przygnębieni żydzi: Karalik, jego żona i babka, wśród nich Petrow, moskal, stary poczciwiec. Właśnie przedwczoraj tłuszcza podjudzonych wieśniaków wpadła do ich chaty, zagrabiła co mogła, splądrowała cały dom, a syna ich, Pietruszkę chciała zamordować; lecz Pietruszka uciekł. Oczekują właśnie jego powrotu. — Petrow pociesza ich i uspokaja, wszak i kozacy przyszli ich bronić do wsi, potem odchodzi... Zaznaczył się, jako coś niezwykłego, rzadkiego wśród ciemnoty, i odszedł. Już jest niepotrzebnym w tym dramacie.

Na polu wyje północny wicher, kłęby śniegu wpadają przez wybite okna do środka izby. Oczekiwanie męczy i Karalika i jego żonę... Dziś Sabbath... Pietruszka powinien wrócić... Jeno ich babka, siwiutka staruszka wydaje się spokojną. Przed trzema laty zamordowali jej męża — od tego czasu jest tak dziwnie spokojną... Nie posiada już świadomości przemijających rzeczy. Uśmiecha się do płonącej lampki. „Piękne światło zgasić, piękne światło!... Adonaj!... Adonaj!“... „Ktoś zastukał. Lęk. Matka podchodzi do drzwi, otwiera je — wchodzi pijany Batiuszka. BATIUSZKA: Zawieja! MATKA. Tak! Tak! BATIUSZKA: Północny wicher! MATKA: Tak! Tak! BATIUSZKA: Chciałem chwileczkę spocząć (*siada).* Trzy wiorsty przegnałem. Iwanow zmarł... Szło djabelnie prędko... Zgasł... Ależ to psi wiatr... Niemal ociemniałem od tego wiatru... (*Oglą-*

dając się dokoła) Tu istna ruina. No, to wasza własna wina! Gdybyście przeszli na naszą wiarę... MATKA (*przerywając mu nagle):* Nie zaczynaj znów o tem. Raczej pozwolimy się ukamienować!... BATIUSZKA: Głupia! Ty bardzo głupia!... Car chce tego. MATKA: Urodziliśmy się żydami i żydami chcemy umierać. Przestrzegali tego nasi ojcowie... Bóg tak chce... I dzieci nasze tak będą postępować.. BATIUSZKA: Hm! *(Szyderczo)* Dzieci! MATKA: Daj mi spokój teraz... Mam dosyć twego gadania... Sabbath... Jeśli nic nie masz lepszego do powiedzenia, odejdź raczej. BATIUSZKA: Dopiero co wam powybijali okna, a ty znów jesteś ową górnolotną... Nie licz znów tak bardzo na kozaków. To nierozumne... Głupie, bardzo głupie! MATKA: Słuchaj — ja ci coś powiem... Tobie! Ty jesteś popem... Gdybyśmy mieli takich rabinów, sto razy wolałabym być poganką. BATIUSZKA *(powstając, nienawistnie):* Żydowica! MATKA: Żydowica! Tak! Dzięki Bogu, żydówka! Lepsza niż ty! Batiuszka, Batiuszka! Ojczulek! Ha-ha-ha! Wszak ty ukradłeś pieniądze z łóżka ojca Petrowa... ty uczyniłeś to, ty! Petrow mówił nam o tem, tu, u nas, ty jesteś złodziejem!... Opoju! Gorzałką cuchniesz cały! Ty obłudniku, coś wieśniaków podszczuł do morderstwa i grabieży. Mordercą jesteś, tak, ty! *(Wskazując babkę.)* A ją doprowadziliście do obłąkania... BATIUSZKA (*dziko i porywczo):* A wiesz, kto przeszedł na prawosławną wiarę? Kto? MATKA (*z trwogą):* O Boże! BATIUSZKA: On! MATKA: Kłamiesz! BATIUSZKA: On! On! MATKA: Ty kłamiesz! Kłamiesz! BATIUSZKA (*podniecony*). Zapytaj go sama! MATKA (*padając na stołek, głucho*)*:* Teraz już wszystko na nic! BATIUSZKA (*głośno*)*:* Dlatego tu przyszedłem, dlatego! Chciałem ci to sam powiedzieć, ponieważ... MATKA: Ciszej, ciszej! BATIUSZKA (*śmiejąc się grubjańsko*)*:* Tak, więc i twój Piotr, twój Pietruszka jest jednym z nas!... MATKA (*błagalnie):* Ciszej Batiuszka!... Jeżeli mąż usłyszy... BATIUSZKA: Już wiesz o co mi szło, więc mogę odejść... Ale ty usłyszysz jeszcze... pozdrowienia dla żydów! *(Odchodzi).* MATKA (*siedzi na stołku, cicho płacząca. Na polu wicher szaleje*). BABKA: Piękny wiatr!... Adonaj!... Adonaj!...

Za chwilę wchodzi Pietruszka, blady, wylękły. Dobrze, że ojciec nie słyszał kłótni Batiuszki z matką, tak, dobrze... Wchodzi pod strzechę ojca niewierny syn... Jakby przybłęda i nieznany w tym domu... Matka, rodzona matka, wypędza go z domu — a na polu taki straszny wicher, taka naremnica okrutna... PIETRUSZKA: Matko, więc nic mi już nie masz do powiedzenia? Na dworze taki straszny wiatr... Lękam się wyjść... MATKA: Do powiedzenia?... Nie! Ja — — — ja myślę... że się już wszystko skończyło między nami... Odejdź!... Przynajmniej ojciec będzie w przekonaniu, żeś zmarł... Odejdź!... PIETRUSZKA: Daj mi twą rękę, matko. MATKA: Nie! PIETRUSZKA: Ja proszę cię... błagam... MATKA: Nie! Nie! — I oto w tej chwili wschodzi wystrojony w sabbatowe suknie Karalik, ojciec. Jakże się ucieszył powrotem syna! Myślał, że już go nie zobaczy, — że dziś bez niego zasiędą do stołu — a przecież w Sabbath wszyscy powinni być w domu... Pietruszka z lękiem zasiada do wspólnego stołu i na żarliwe pytania ojca co do przebytych przygód prawie nic nie odpowiada. Karalik modli się i dziękuje Jehowie za przywrócenie syna, za łaskawe wejrzenie na jego dom, dziś, w trzyletnią rocznicę zamordowania dziadka Pietruszki. A potem każe się modlić Karalik synowi swemu. Matka nie pozwala i Pietruszka się wzbrania. PIETRUSZKA: Boruch ato Adonaj... (*Pada na krzesło*). Nie mogę! Jestem znużony, chory. Nie przyprowadzajcie mnie do szaleństwa!... KARALIK (*zdumiony*): Co? Ty... nie możesz?... *(Z naciskiem w głosie*). Modlitwa nie może być przerwaną... *(Modli się sam, mrucząc)*: „Boruch ato Adonaj Elohejno...“

Nagle ktoś zastukał silnie w okiennice. Powtórnie. W izbie przerażenie. Wywalono drzwi. Wszedł kapitan z kilku kozakami. Zażądał od Karalika papierów, pozwalających mu mieszkać w tej okolicy. Karalik zbladł. KARALIK: Nie rozumiem... Czego chcecie odemnie? KAPITAN (*pokazując mu papier*): Tu jest ukaz. Jesteś zapisany jako obcy poddany. KARALIK: Obcy... Ja... ja?... Oczywiście Karalik nie ma nic na swoją obronę. Nie pozwolono mu zabrać żadnych rzeczy — w tej chwili musi iść z żoną — gdzie? dokąd? Karalik woła syna, by szedł z nimi razem. KAPITAN: Nie, twój syn tu pozostanie. Wszak wczoraj przyjął naszą wiarę. KARALIK (*słaniając się*): Co? Ty przyjąłeś wczoraj ich... wiarę? (*Pauza*). Ty... wczoraj?... (*Zrywając się nagle i chwytając nóż ze stołu*): Ty... wczoraj?!... KAPITAN (*gniewnie*): No dosyć już tego!... Idziesz, czy gwałtu mam użyć?! KARALIK: Nie... żadnego gwałtu... (*Do żony*): A ty wiedziałaś o tem? (*Żona milczy*). Więc przy stole siedział dziś — obcy... KAPITAN: Naprzód! Marsz! KARALIK (*prosząc*): Mogę jeszcze do niego przemówić? KAPITAN: Prędko! KARALIK: Chciałem powiedzieć... że ty... że ty... (*Popadając w histeryczną wściekłość*) żeby cię byli wczoraj ukamieno-

wali, żeby twój mózg zostawili na drodze wilkom na żer! Obyś się był raczej stał tak niedołężnym, jak idjota, szaleniec... zanim jąłeś się modlić przed chwilą... (*Biorąc szklankę i miażdżąc ją na drobne kawałki*): Zaiste, jak ta szklanka nigdy już całą nie będzie, tak cię przeklinam, tak cię wyrzucam z mej duszy, tak brzydzę się tobą. Żebyś przez całe życie żył wśród widzeń, któreby cię mordowały jak straszna zaraza! Przeklinam twoje dzieci i dzieci ich dzieci... (*Dusząc się z wściekłości, upada*).

Kapitan wyprowadza Karalika wraz z żoną. Dokąd? Kapitan sam nie wie. W izbie pozostają: Pietruszka i babka... Z za ścian słychać śmiech służącej.

BABKA: Piękne światło... (*Dotyka się lampki*) Adonaj! Adonaj! PIETRUSZKA: Cicho! Cicho! (*Upada na ławę*). BABKA (*uśmiechając się*): Światło... piękne światło... zgasić... (*Zanurza palec w oliwie, płomyk dogorywa, migając*). PIETRUSZKA (*przypatruje się temu osłupiałemi oczyma*). BABKA: Już po świetle!... Adonaj! Adonaj!...

Tak się kończy dramat Heijermansa, pyszny w budowie, odznaczający się znajomością duszy żydowskiej, której to znajomości dał autor pełniejsze jeszcze dowody w „Ghetto“, w trzyaktowej sztuce z życia amsterdamskich żydów.

W powyższem streszczeniu starano się choćby w części zaznajomić czytelników z nieznanym u nas utworem holenderskiego poety.

Fel. Gw.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

KSIĄŻKI. *Bronisław Gembarzewski:* „Wojsko polskie. Królestwo polskie 1815—1830“. Z przedmową Al. Rembowskiego — II Księstwo warszawskie. Z przedmową S. Askenazego — Warszawa.

Dzieło to prócz ozdobnej szaty zewnętrznej posiada, co rzadko się zdarza w wydawnictwach albumowych, także i treść, czyniącą zadość wymogom naukowym, bo opartą na licznych materjałach rękopiśmiennych i umiejętnie opracowaną.

Autor przedstawia nam w pierwszej części kolejno losy armji polskiej od jej powrotu w roku 1814. z Francji, zastanawia się nad jej organizacją i przechodzi poszczególne rodzaje broni. W kreśleniu historji poszczególnych korpusów autor daje nam prócz ich genezy, także i opis munduru, zajęć służbowych, stanowisk, liczbę ludzi, płacę i dzienne utrzymanie ich i wiele tym podobnych bardzo ciekawych szczegółów, które przytem są niekiedy i bardzo ważne, a dotąd mało albo mylnie znane. — Takie np. zestawienie sił poszczególnych oddziałów w d. 1. września 1830 r. pozwoli teraz dokładnie obliczyć — jaką siłę posiadała rewolucja listopadowa. Autor nie pomija ani szkół, o których jako wyjętych z pod zakresu władzy cywilnej, dotychczas ledwie parę szczegółów się wiedziało z pamiętników Kołaczkowskiego i Komorowskiego, ani najrozmaitszych gałęzi administracji wojskowej, o której cośkolwiek można się było dowiedzieć ledwie z Roczników wojskowych, a która przecież tak wybornie była zorganizowana przez W. Księcia.

Nader ciekawym jest rozdział opisujący korpus rezerwowy, t. j. pułki gwardyjskie rosyjskie, a właściwie litewskie, których utworzenie i ściąganie do nich żołnierzy Polaków i Litwinów z oddziałów gwardyjskich i innych rdzennie rosyjskich wiele zrodziło kwasów wśród Rosjan.

W ogóle armja polska prezentowała się na zewnątrz imponująco, głównie dzięki systemowi W. Księcia, co jednakowoż miało i swe ujemne strony, zbytnio bowiem kładziono nacisk na stronę formalną t. j. na wygląd żołnierza i jego obroty, a nie zwracano prawie wcale uwagi na stronę intellektualną, już nie żołnierza, ale i oficerów. Również autor zwraca uwagę, w czem idzie częściowo za Prądzyńskim na rozluźnienie dyscypliny w wojsku wynikające z systemu W. Księcia.

O ile jednak autor, przedstawiając wojsko doby Królestwa, miał łatwiejsze zadanie, choćby z powodu jego jednolitej organizacji, o tyle zadanie to stawało się trudniejszem w przedstawieniu militarnych dziejów Księstwa. Przedmiot znacznie większy i trudniejszy z powodu kilkakroć zmieniającej się formacji i z powodu częstego wymykania się z pod kontroli nieraz znacznych oddziałów walczących gdzieś na zachodnich krańcach Europy — a nadto przez utratę znacznej liczby aktów wojskowych w wyprawie moskiewskiej.

Mimo tych przeszkód jest jeszcze taka ilość materjału, że autor z wielkim trudem przez nie się przebija. — A następstwem tego jest za małe akcentowanie rzeczy ważniejszych jak n. p. kilkakrotne zmiany organizacji wojskowej. — Dalej, zdarza się, że jeden fakt kilkakrotnie się powtarza, jak manifest Radzimińskiego — przyczem autor zbyt rozwodzi się nad województwami poznańskiem i bydgoskiem i osobą Dąbrowskiego, mało wspominając o sile zbrojnej departamentu warszawskiego i o działalności tamże Poniatowskiego.

W ogóle autor był zależny od ilości materjału, a zależność tę uwidacznia się w tem, że o rzeczach choćby małej wagi, autor jeśli mu na to źródło pozwala rozwodzi się szeroko, wysuwając je przez to samo na punkt naczelny, a o rzeczach rzeczywiście ważnych, często z braku materjału znacznie mniej mówi.

Błędy te, ogólniejszej i raczej zewnętrznej natury, nie umniejszają wartości tej drugiej części, która zawiera prócz nader ciekawych historji poszczególnych pułków (bo autor trzyma się układu tego samego co i w pierwszej części) także interesujące szczegóły, odnoszące się do budowania twierdz, krzyża virtuti militari, kompanji honorowych, a co ważniejsza do sposobu myślenia o tej armji Napoleona, Davousta i in. Opuszczone są tylke losy oddziału lekkokonnego gwardji, ze względu na osobne o nich dzieło Rembowskiego.

Obie książki ozdabia bardzo wiele rycin autora, bardzo oryginalnych w koncepcji, a przytem wiernych, które wraz z treścią tworzą całość, rzeczywiście artystycznie wykończoną, dla ludzi zaś zajmujących się czasami Księstwa i Królestwa w wysokim stopniu cenną i podstawową.

Bronisław Pawłowski.

Xięgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane, przekładania Jerzego Żuławskiego, rysunki Wilhelma Wachtla. Nakładem H. Altenberga we Lwowie.

Poezja nowożytna zwraca się często do tematów biblijnych i religijnych, idąc za popędem żyłki metafizycznej, która w niej bądź co bądź istnieje. Tematy tego rodzaju obrabia w nowszych czasach Kasprowicz, Wyspiański, przedewszystkiem zaś Żuławski. On jeden z pierwszych podjął na nowo tradycję przekładów pieśni starego testamentu, których dokonywali (nie mówiąc już o Kochanowskim) Ujejski, Pol, Brzozowski i wielu innych. A trzeba przyznać, że sztukę przekładania pieśni biblijnych doprowadził p. Żuławski do prawdziwego mistrzowstwa. Aby to zrozumieć i wyczuć, należy porównać poetyczne przekłady p. Żuławskiego z oryginałem choćby w przekładzie Wujka. Zgoda i harmonja przedziwna. Myśli poetów hebrajskich nie tracą nic na jasności w przekładzie p. Żuławskiego, owszem uwypuklają się plastycznie i znakomicie. Do przekładu użył p. Żuławski języka archaicznego, któremu jednak nie zbywa na bogactwie i kulturze współczesnej. Jest to doskonały zespół dwóch pierwiastków w doskonałą jedność.

Gdzie trzeba, jest język p. Żuławskiego prosty i niewyszukany, gdzie trzeba, olśniewa siłą ekspresji i przedziwnością wyrażenia. Perjody i okresy językowe toczą się dźwięcznie i pełnie, a nigdzie przesady nie spotkasz, nigdzie nie razi brak umiaru artystycznego. Ten umiar, ten ład myśli i stylu jest najlepszym dowodem tężyzny i dojrzałości talentu autora „Erosa i Psyche“. Jeżeli mało jest poezji, któreby dorównywały poezjom biblijnym, to z pewnością nie wiele jest dzisiaj książek, któreby tak trwałe i głębokie ryły w duszy uczucia, jak ten tom przekładów p. Żuławskiego.

Książka omawiana składa się z czterech większych części. I. Widzenie Jecheskielowe. II. Z ksiąg Hioba cierpliwego. III. Z kaznodziejskiej księgi Salomona. IV. Pieśń nad pieśniami. Co najpiękniejsze, trudno powiedzieć. Wszystko równie dobre i doskonałe. Jeśli zaś przekład „Pieśni nad pieśniami“ porównamy z przekładami innych poetów np. Brzozowskiego, to niewątpliwie Żuławskiemu oddamy tu palmę pierwszeństwa dla tej właśnie jego specjalnej zdolności do ujmowania tego rodzaju tematów, przeprowadzania ich i zakuwania w odpowiednią im formę. Treści książki odpowiada forma. Okładka ceglasta, z prostym, archaicznym tytułem. Druk wewnątrz również pełen prostoty i niewyszukany. Ilustracje p. Wachtla stylizowane dostrajają się doskonale do całości. *Teodor Mianowski.*

ZAPISKI.

Antykwarjat naukowy. Świat naukowy i wszyscy ci, którzy zabierają się do jakiejkolwiek pracy naukowej, nie interesują się zbytnio, a może i nie zawsze wiedzą o istnieniu we Lwowie instytucji, która im znakomite oddać może usługi, zwłaszcza przy zbieraniu materjałów źródłowych. Instytucją tą jest „Antykwarjat naukowy“ inżyniera Józefa Tuleji, przy ul. Sykstuskiej. Urządzony na wzór zagranicznych tego rodzaju wielkich zakładów, ma on obok celów antykwarycznych, to jest sprzedaży i kupna książek, także cel donioślejszy, którybý nazwać można pośrednictwem między autorami prac naukowych a niezawsze im dostępnym, często nawet nieznanym materjałem źródłowym i bibljograficznym. Kto pracował kiedykolwiek nad najmniejszą choćby rozprawką, wie, jakie trudności przejść trzeba, aby materjał ów, rozrzucony niekiedy po czasopismach, wydawnictwach zbiorowych, drukach ulotnych, zebrać razem i niepominąć przytem niczego. Zadanie to ułatwia znakomicie „Antykwarjat naukowy“, dostarczający obok książek także i wycinków z czasopism etc. Również i zasilanie bibljotek zwłaszcza w starsze, w handlu księgarskim nie znajdujące się już wydawnictwa, dalej zamawianie u firm zagranicznych rzeczy pomieszczonych w katalogach tychże firm i wszelakie pośrednictwo księgarskie jest włączone w zakres działania „Antykwarjatu naukowego“. Na ten ostatni zakres, zwrócićby należało uwagę zwłaszcza bibljotek i zbiorów publicznych, które nie zawsze poczuwają się do obowiązku poparcia (bez najmniejszych ofiar) instytucji prywatnej wprawdzie, ale zawsze jedynej tego rodzaju w kraju naszym i ruchliwej, która u obcych wyrobić sobie zdołała już poważną markę.

Olbrzymi księgozbiór „Antykwarjatu naukowego“ liczący do 60.000 tomów obliczony jest, jak na razie z konieczności na kljentelę obcą, zwłaszcza niemiecką, ale zawiera przecież w jednej trzeciej części rzeczy do Polski się odnoszące. Wymienić tu należy z ciekawszych np. rzadki zbiór konstytucji sejmowych polskich z XVI i XVII wieku, znaczny zbiór sztychowanych i litografowanych portretów etc. Wchodzi też w skład zbiorów p. Tuleji duża bibljoteka po Mniszchach, zebrana przy końcu XVIII wieku przez hr. Mniszcha, „wielkiego ochmistrza królestwa Galicji“, zawierająca mnóstwo dzieł bogato ilustrowanych i wydawnictw zbytkowych, jak np. wszystkie architektoniczne rzeczy Dominika de Rossi, komplet klasyków francuskich w zbytkowych, ilustrowanych wydaniach i t. d.

Zbiór dzieł technicznych i przemysłowych, a zwłaszcza o gorzelnictwie, stanowi prawdziwą dumę p. Tuleji, gdyż jest obfitszym o wiele, aniżeli w którejkolwiek bibljotece krajowej. Również bogato jest reprezentowany dział statystyczny i perjodycznych wydawnictw naukowych.

„Antykwarjat naukowy“ wydał już dotychczas pięć drukowanych katalogów, z których jeden wyłącznie dla zagranicy przeznaczony, zawiera same tylko książki obce. Odznaczają się zaś owe katalogi dokładnością opisów każdej książki, jak niemniej i przejrzystym rozkładem według drobiazgowo wyspecjalizowanych działów naukowych.

Fr. Jaw.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.